

Jerzy SULINA-KAMIŃSKI

Data: 31.V.81 r.

Red. LITERACKA

Godz.: 16⁰⁵ - 17³⁰

Główny Urząd Kontroli Pracy
 i Zarobków
 Delegatura w Warszawie
 ul. Chałubińskiego 10
 00-900 Warszawa

Katedra: _____
 Er. W-10
 Data: 31 V 81
 Podpis: _____

"Jak drwale"

No i stało się: przyszli. Przyszli w poniedziałek. I matka powiedziała:

- Tydzień źle się zaczyna.

Ale wpierv wyleciał w powietrze most. Ten nasz most Królowej Jadwigi. I wcale nie było tak jak to wszyscy sobie wyobrażali. Huknęło porządnie, prawda. Posypały się szyby, fakt. Ale żaden dom nie zarysował się w fundamentach, nie wyleciała żadna futryna i nie spadł żaden dach. Tylko bijak w budziku państwa Batków tryk-
 nął w czasie dzwonka jakby obwieścić chciał nastanie nowej ery.

Klamki w drzwiach, tych od ulicy i tych od podwórza, potar-
 siły metalowe okucia zamków, rygle miotały się w wpustach i przy-
 klęknął płomyk w lampce oliwnej. Papuga sióstr Sobeckich darła się
 jak odzieraną z piór. Najciszej zachowali się ludzie i pies.

Korytarzem naszego idzie zygzakiem, od ściany do sztachet

przepierzeń, pijany Alfons Kujawa. Jego pijacki, chwiejny chód
wprawia w pozorny ruch całą naszą piwnicę tak iż zdaje się, że
siedzimy w wagonie pędzącego w zatracenie ekspresu. Kujawa rozciera
ręce na słupkach o drzwi i skłania się w prześwicie boksu Batków.
Istnieje groźba, że padnie prosto w podolek przycupniętej na lego-
wisku pani Emmy.

- Jaaa, panie Batke... - mówi - Jaaa... Po tamty stronie Byrde
jes jeszcze Polska... Co po ty tuta, to ja nie wim, nie wim...
panie Batke... co jes. Ostali m jak te sieroty, jak te podrzutki
biedne...

Zagląda do wszystkich boksów, wszędzie wciubia swój czerwony
nos. Dłużej zatrzymuje się w przedziale rotmistrzowstwa Oborskocho,
gdzie skulona w pierzynie, leży moja matka.

- Jaaa, pani, jaaa... Cofli sie za Byrde, ostawili nas w szty-
chu... A Lejoś mój, Lejoś, pani, z harcerzami jes... Dej mu pan
Jezus rozum i zdrowie...

I tak chodzi Alfonks Kujawa po piwnicy i smęci, aż mu Grzybowski
z gębą pełną czekoladek drogę zastępuje, sadza na kupie węgla
w boksie panien Sobeckich i tarmosi za ramiona aż się staremu ta
głowa jego siwa buja jak brukiew na sprężynie.

- Coś ty chlał tyle Alfonks, co? Syna trza było pilnować!

A Babę gdzieś podział, co? Powiadaj gdzie baba!

A Grzybowska za Grzybowskim się snuje; spokój ma dać Grzybowski staremu. Kujawowa jeszcze w sobotę schody w domu od Królowej Jadwigi pomyła, linoleum olejem wywyksowała i poszła do brata na Jachcice bo bratowa ciężko chora. Dlatego Kujawa taki smutny i chła.

Matka woła mnie z głębi boksu. Mam do niej przyjść i przytulić się, bo nie wiadomo co będzie. Najgorsze są te chwile, kiedy jedni odchodzą, a drugich jeszcze nie ma. Tak było w Brzozie, gdy Grentzschus bił się z Polakami, Potem cofnęli się i jedni i drudzy a wieś pozostała między młotem a kowadłem. Martwi się matka o Dziadusia azurowego i Babusię jak dzwon. Oni tam sami w tym swoim sklepiku, z Bronią tylko i z myszami pod podłogą. Może kto sklep obrał? Może zamordował staruszków? We wojnę zawsze giną najlepsi, zawsze cierpią sprawiedliwi. Bronię mógł kto sponiewierać, taka młoda i ładna, Dziadzius azurowy by tego nie przeżył.

Dziadkami z Rycerskiej matka się nie przejmuję. Tych to nikt nie ruszy, chyba że kulka jaka zablakana. Schowani w tej oficynie, siedzą pewnie skuleni jedno przy drugim i pilnują swego marnego dobytku.

Siedzą chyba w kuchni na tym kufrze, gdzie Dziadus polonus trzyma te swoje szlacheckie patenty, gdzie pławi się w naftalinie srebrny lis cioci Moniki i gdzie kruszeją pióra z balowego wachlarza Babusi rzechotki. Może to i dobrze, że Dziadus polonus poderżnął sobie kilka miesięcy temu gardło brzytwą, w parczku przy Warszawskiej. Jakoś po tym na głowę zapadł i teraz przynajmniej jest spokojny, nieczuły na grozę i strach. Co innego ciocia Monika. O, ta pewnie wariuje! Chciała być żywą torpedą a jej nie pozwolili. Odgrażała się, że w dzień wielkiej sierpniowej defilady przedrze się pod trybunę i zażąda od marszałka Rydza-Smigłego wcielenia jej do brygady straceńców. A tu Babusia rzechotka zamknęła przed nią drzwi na klucz! Nawet rzuciła tę swoją powieść "Olśniona w pociągu", bo - jak twierdziła - niesposób uprawiać sztukę, gdy płoną lasy. Tak, z Monisią Babusia rzechotka ma na pewno krzyż pański. Na pewno mają wiele zdrowia kosztuje ją Monisia w te wojenne dni. Ale tym moja matka się nie przejmuje. To jest przecież rodzina mojego ojca, nie jej. Jakoś muszą sobie sami dać radę. Zawsze obywali się bez nas, to i teraz też.

Matka dużo myśle o swoich. - Cóż też ten wuja Paweł w tej

Warszawie? Jeździ na lukstorpedzie, pędzi setką jak dziki jaki, a przecież w wojnę lukstorpedy są bardziej narażone niż w czasie pokoju, pod bomby proste pędzi, bo tory to najlepszy cel dla lotników. Tu też przecież jak rąbnęli, to wpierw na dworzec, na ekspedycję, dobry Boże ratuj wuja Pawła. Dopiero co, parę dni temu zaledwie ożenił się z Peretiatko Hersylią, antkówną durch und durch, Dziadusiowi ^A azurowemu na złość, ma się rozumieć, bo po co mu nagle ta Hersylia? Grób wykopał ojcu za życia, Dziadus azurowy nigdy nie zgodzi się na synową z ciepłych stron. Już by wolał, żeby do zakonu wstąpił wuja Paweł, jużby wolał żeby pękał tę starokawalerkę, niżby wprowadzić nie do rodziny taką ze Lwowa co to zamiast używać mydła, perfumami się pryska, co to paznokcie lakieruje a pod paznokciami ciężka żaloba, co to polewkę drewnianą łychną z miski wyjada a pindrzy się, a mówi: pardon, purkła, matmamzel. I to zrobił wuja Paweł Dziadusiowi azurowemu na pięć minut przed wojną, kiedy nieszczęście i tak wisiało w powietrzu jak groza, jak topór kata!

Coś jakoś nie miał ostatecznie Dziadus szczęścia do dzieci.

Bo i ciocia Pejtka z wujem Poszwą karnie zesłani do Pipidówki, do Henrykowa, gdzieś pomiędzy Karsznicami a Zduńską Wolą.

A bo też i po co śpiewali na urodzinach cioci Hejtki, w biały dzień, przy otwartym oknie, Waldes Luuuust, czyli Leśne nastroje? Państwowy kolejarz na Francusko-Polskiej Kolei śpiewający po niemiecku, kiedy Hitler jedną nogą w korytarzu stał? Głupie to i nieładnie. Ale wuja Poszwa tłumaczył się, że tak go tej piosenki w szkole uczyli i tak ją sobie umiał. A jak śpiewali w tym samym oknie i w ten sam biały dzień o Kasztanku na którym siwy strzelca strój, to się tego nie wzięło pod uwagę a i nic, tylko panie Poszwa, przeniesienie albo do widzenia. Tak tedy nasz Dziadus azurowy ^{pozał} ma syna i ~~przemił~~ że panie Boże synową w antkowskiej Warszawie, a córkę i zięcia w Pipidówce. Czy może być coś straszniejszego na stare lata dla Dziadusia azurowego pomorskiego? I moja matka o tym wie i cierpi razem z nim.

Mówię matce, że bardzo chciałbym zobaczyć jak też wygląda ta ciocia Hersylia z domu Peretiatko. Ale matka powiada, że nie, ona nie pragnie ją zobaczyć, chociaż bardzo dobrze nowej cioci życzy. Bo jak już mają ślub to niech mają; nigdy nie poważyłaby się rozwiązać tu na ziemi to, co w niebie zawiązane. Widać tak miało być. Niech tylko wszyscy przeżywają, to przygarnie ich do serca, całą rodzinę bez wyjątku i tę Hersylię, czy jak jej tam, też.

Z czasem nauczy się pomorskiego, zasmakuje w karbonadzie z modrą kapustą, w pudingu z grysiku i z sokiem malinowym i w tym wszystkim co my lubimy. Wtety ciocia Hersylia będzie prawie jak nasza i wara komu złe słowo na nią! A jak już będą mieli dzieci to w ogóle! To i może Dziaduś azurowy zmięknie i na chrzest pod poduszkę ze dwadzieścia złotych wetknie. Bo co się boczyć na niewinne dzieci? Wszystko od wuja Pawła będzie zależeć czy wychował je na uczciwych Pomorzaków, czy też krew cioci Hersylii weźmie górę i zrobią się z nich zakute Antki. Bo w takich rodzinach gdzie jedno od Sasa a drugie od lasa, wszystko jest możliwe. - U nas w domu, na przykład, - mówi matka - na matkę mówiło się Mutchen. I co z tego? Ewanlieliczka, a dzieci wychowała po polsku, po katolicku. A Bodzynowie przecież tak jakby Niemcy. Ale Mutchen twierdziła, że wedle wiary ojca, wiara dzieci. I tak się stało. I skoro już o dzieciach mowa, żebym się specjalnie nie zdziwił jeśli w niedługim czasie zawita do nas bocian z braciszkiem czy z siostrzyczką, zobaczymy co też to tam będzie. Szkoda tylko, że w wojnę; ciężko, bardzo ciężko Bóg chce nas doświadczyć...

Nie na rękę mi teraz ta historia z bocianem tutaj, w tej salonce, gdzie dzieje się tyle strasznych i wspaniałych rzeczy.

Ten most nasz, na przykład, co wyleciał w powietrze. Ta wojna za progiem, maszynówki w kontrabasach w pobliskim domu Apelta, żołnierz z kolejarzem szukający Niemców, Nitzowie schodzący ze schodów z podniesionymi rękami, to znowu uwolnieni przez ojca, szczęśliwie wracający na swoje piętro. Manekim krawiecki z rozprutym torsem w piwnicy domu przy Królowej Jadwigi. Pan Batko z syfonem wody sodowej, ojciec Grzybowski kłócący się z Grzybowską o zafasowane czekoladki, pijany Alfonks Kujawa i mój ukochany pies rotmistrzostwa Oborskich. Zresztą tak się tylko mówi ze bocian. Już się coś wie o tych sprawach piąte przez dziesiąte.

Ojciec z doskoku wpada do naszego schronu. Urwał się chyłkiem - powiada - zostawił na chwilę w garbarni tych swoich czterech zuchów z waltherami gotowymi do strzału i przyszedł zobaczyć co z nami. Czy się dobrze trzymamy. Sytuacja w mieście - uważa - jakby się poprawiła. Cisza. Ani wojska, ani policji, ani chłopaków z Przysposobienia Wojskowego. Przynajmniej w naszym viertlu jakby ~~wymiotti~~ⁱ wymiotti. Według jego rozeznania wojskowości, chociaż służył w kontrtorpedowcach a nie w infanterii, to zdaje mu się, że nasze siły przeszły w stronę BrdyuJścia, za Wisłę i tam się grupują. Co by znaczyło, że za jakieś parę godzin należy się

spodziewać kontrataku. Wtedy wszystko, jak przewalało się z Zachodu na wschód, tak teraz przewali się ze wschodu na zachód. I dobrze. I bardzo dobrze! Szkoda tylko, że tak się pospieszyli z tym naszym mostem; jeszcze jedno utrudnienie dla wojska. Pewnie jakimś oficerzynie nalał się strach do buksów, nie wytrzymał i wysadził. Tak to jest jak w wojsku obsadza się ważne stanowiska niedowarżonymi antkami. Bo nasz, pomorski poważny oficer wpierv by sobie ucho odgryził, niżby wysadził swój rodzony most. Chyba, żeby na drugim końcu zobaczył niemiecki czołg. Wtedy ja, to co innego wtedy.

Pan Batko pyta ojca czy naprawdę tak cicho w naszym mieście? Czy nikogo nie widział? To znaczy jakichś innych mundurów? Samochodów czy co? No bo to już parę godzin minęło, jak most wyleciał w powietrze...

Chłopie! - tłumaczy ojciec Batce - Kto ma tu być, jak pełno naszych w Brdyujściu a posiłki w drodze? Myślisz że będą się narażać? Tu się dopiero front zacznie!

I ojciec radzi co mamy robić jak ruszy nawała. Przede wszystkim zachować taką taktykę jak dotychczas. Siedzieć. Biedzieć cicho i bez nerwów. Nie wychylać nosa poza piwnicę.

Być w boksach, nie zbliżać się do drzwi, okien i lufcików. Jakby coś nie tak, jakby smród jakiś, zaraz nakładać maski gazowe albo tampony, co kto ma. Nie palić papierosów, świec, bo szkoda tlenu, tlen może być potrzebny do oddychania. Cierpliwie czekać aż wszystko minie a zwłaszcza zdać się na łaskę pana Boga i Matki Najświętszej. Na wszelki wypadek może zostawić nam jeszcze jedną instrukcję L.O.P.P. - Ojciec maca się po kieszeniach - Niestety, powiada, chyba zostawił druczek w garbarni, to nic, i tak co najważniejsze powiedział, tylko wypełnić wszystko sumiennie jak przykazał, a będzie dobrze.

Idzie ojciec do matki, do boksu po Oborskich i kładzie rękę na jej brzuchu.

- I jak? Kopie?

- W porządku - odpowiada matka - Wracaj do Bucholza bo cię rozstrzelają ze opuścisz stanowisko.

- Tjaaa - mówi ojciec - trzeba faktycznie iść. A tak mi się nie chce... Ale będę blisko, jak co do czego wpadnę i zobaczymy.

Jakoś to będzie, zostańcie z Bogiem.

I raz jeszcze ojciec wychodzi do tego swojego Bucholza,

skąd bierze pensję i zelówkową skórę w deputacie. Gdzie czeka na niego tych czterech zarepetowanymi waltherami. Gdzie garbarskie perszerony trą pyski o puste żłoby i wydzwaniają łańcuchami kajdaniarskie mazurki. Gdzie na płaszczach wystudzonych kotłów osiada tłusta rosa a w panewkach nieruchomych wałów pędnych gęstnieje smar. Gdzie kłęby czarno-niebieskich much przetaczają się nad trupami fetorem niewygarbowanych skór. Gdzie w zimowym ogrodzie dyrekcyjnego pawilonu wesoło pluskają w marmurowym basenie czerwone i złote rybki. Tam idzie mój ojciec z duszą na ramieniu, z pistoletem pod marynarką, ze słabą nadzieją, że wszystko odmieni się na lepsze. Ale idzie. Tyle, że mocniej zaciąga na sobie pas. Ucisk pasa na biodrach dodaje mężczyznom odwagi. A ojciec chce być odważny.

Teraz czas mija inaczej niż przedtem. Ta ponura cisza wokół nas każe kłamać zegarom. Budzik pana Batki chodzi jak chodził, ale nikt mu nie wierzy. W nas tykają własne zegarki i różny jest strach naszych ~~szam~~ strachów i nadziei. Właściwie żyjemy w czasie bez czasu, nie ma chwili terażniejszej. Jakbyśmy stali na dnie morza, które rozwarło przed nami swe przepaście.

Tu odpływająca fala przeszłości, tam nacierająca ściana przyszłości. A my w środku, w tym pustym leju, w tej huczącej ciszy przed potopem. Pies rotmistrzostwa Oborskich cały spięty i nastraszony, czujnie strzyże uszami. Co on słyszy? Zamilkły nawet pacierze. Tylko z boksu panien Sobeckich dobywa się chrapanie śpiącego na węglu pijanego Alfonksa Kujawy. Grzybowski siedzą cicho w swojej suterenie. Papuga w klatce wciubiła łeb w nastroszone pióra i drzemie nadrażku. Poza tym nic, nic, nawet chrobot ɣ mysi. Ale ten pies. Pies coś czuje.

Myślę o wuju Janku. Czy też wróci jeszcze na Rycerską po te swoje skrzypce? Zabrała mu je kiedyś ciocia Monisia. Chciała żeby został, żeby nie ruszał w świat. Bez skrzypiec - była pewna - do nikąd iść nie mógł. Bez skrzypiec był jak bez serca. Ale on poszedł i tak. Wziął pusty futerał i poszedł. Jeszcze naurągał siostrze, potar mosił. Włożył aksamitną czapkę ze złotą lirą, pstryknął palcem w daszek, obrócił się na obcasie - i już go nie było. A ciocia Monisia została z hukiem zatrzaśniętych drzwi w uszach i z piekącym poczuciem winy. Odtąd wuja Janek włóczył się po świecie i grzeszył. To ona, Monisia, wypędziła go z domu, wpędziła w nędzę i głód.

Bo jak zarabiać na życie jeśli się nie ma skrzypiec? Siała do niego ludzi, listy, żeby przyszedł, żeby chociaż wziął te skrzypce, przebaczył. Ale wuja Janek nie wrócił. Podupadł, a pozostał przy swoim. Dlatego ciocia Monika postanowiła być żywą torpedą, poświęcić się za brata i ojczyznę. Ale o tym wuja Janek pewnie nawet nie wie. Bo i skąd? Teraz jest na wojnie, gdzieś daleko, a może i całkiem blisko? Może jest za Wisłą, w Brdyzjściu? I zaraz tu będzie ze swoją armią?

Pies rotmistrzostwa Oborskich ze skowytem podbiega do ulicznych drzwi. Odpędza go stamtąd Grzybowski, wypłoszony z sutereny jakimś niepokojącym go zjawiskiem. - Państwo słyszą? - Tak coś dudni?... - przyklada dłonie do uszu i czyni namiar na źródło dźwięku - Dudni i rzczęści... Jakby kto ciągnął po kamieniach żelazne łańcuchy...

Pan Batko wstaje z legowiska i zamienia się w aparat podsłuchowy. - Tak - powiada - to coś jest... To mogą być... to są tanki... Tanki to są!

- Francuskie?

Pan Batko nie odpowiada. Pani Emma dźwiga się z pościeli,

gasi papierosa w szklanym spodku i zapala dwie świece. Stawia je na stoliku po obu stronach lusterka. Czesze się grzebieniem o toczonej, drewnianej rączce. Potem szminkuje usta i pudruje twarz. Podaje mężowi surdutową marynarkę. Ten wdziewa ją na siebie, wygładza palcami wąsik i też przeczesuje włosy. Oboje są gotowi jakby do wyjścia, jak na niedzielny spacer. Pies dygoce. Dopala się oliwa w wiecznej lampce. Matka jęczy cicho, Alfonks Kujawa chrapie. Tulę policzek do czoła matki. Jest spocone i zimne, ale matka żyje i oddycha. Nawet mówi: - Nie oddchodź, zostań tu, nigdzie nie idź... - ściska moją rękę aż do bólu. - Nie bój się mamo, nie bój... Chrzęst i tumult na ulicy, odgłosy komend, tupot żołnierskich butów. Drzwi od Naruszewicza ustępują pod ciosami kolb. Pies rotmistrzowstwa Oborskich rzuca się w jasny otwór dnia. Krótka seria z automatu. Zwierzę wywraca kozła przez głowę i w drgawkach pada na grzbiet. - Nicht schiesen, nicht schiesen! - krzyczy histerycznie pani Emma - Hier sind unsere! - Pogłos żelaznej wrzawy oddala się. I znowu cisza. Ciało mojej matki kurczy się w bólach. Matka zaciska zęby, ale milczy. Nie wiem komu bardziej współczuć: matce czy psu. Przez łyzy dostrzegam wytrzeźwia-

iego nagle Alfonksa Kujawę. Pochyla się nad matką. Jest źle -
 mówi - Z Lejosiem też jest źle. Już tu są. Są tu... - Ojciec -
 szepce matka - Ojciec ... niech tu zaraz przyjdzie ojciec.

Pan Batko zapięty na ostatni guzik, nieśmiało wychyla nos
 na świat. Za nim Grzybowski, Grzybowska, pani Emma, Edek i Hilary.
 Nie wytrzymuje i też idę, bezskutecznie trzymany na wodzy matczy-
 nego protestu.

Na przeciwko naszego domu, po obu stronach furtki wiodącej
 do willi właściciela firmy "Hadroga" - kartony i tutki - stoi
 w rozkroku dwóch żołnierzy w hełmach. Podwinięte rękawy ich
 szaro-zielonych bluz, ukazują śniade od słońca, wiochate ręce.
 Bagnety na lufach karabinów ślą w naszą stronę oślepiające luster-
 kam Za pasami styliska ręcznych granatów. Twarze żołnierzy zwró-
 cone są w naszą stronę, ale nie wiemy czy ich oczy nas widzą. Są
 nieruchome, schowane pod cienistymi okapami hełmów. Są to właści-
 wie twarze bez oczu. Tylko ich usta, zdaje mi się - ich usta wi-
 dzą nas. Usta zaciśnięte w twarde, szydzący wyraz. Są młodzi,
 brudni, piękni i pełni grozy. - Te karabiny - szepce Grzybowski
 Batce do ucha - te karabiny ich to jak siekiery. Jak drwale są...

W drzwiach willi pojawia się właściciel firmy "Hadroga" - tutki i kartony. Za nim dwóch żołnierzy i oficer. Właściciel firmy podniósł ręce do góry - jak Skarga na obrazie Matejki. Czy wygłosi kazanie? Nic z lęku, nic z przerażenia w nim. Mijając nas, rzuca w naszą stronę szelmowskie perskie oko. Ta zabawa w złodziei i policjantów zaraz się skończy. Jest przecież niewinny. Zaraz się wszystko wyjaśni.